

Powietrze było tak zimne, że oddech kłuł. Wzięła wdech, szeroko otwierając usta, i wyobraziła sobie, jak szron pokrywa jej płuca. Spojrzała, czy nie pozdierała skóry z dłoni, bo lecąc rozpędzona w zaspę, osłoniła się nimi, żeby nie poobijać buzi. Były czyste. Chciała jeszcze chwilę poleżeć w tym śniegu. Niebo wyglądało jak mokry papier. Dzieciaki zjeżdżały z górki, krzyczały i piszczały, stary autobus zaburczał przeciągle i ruszył z przystanku po drugiej stronie ulicy. Rozprostowała nogi, wbiła pięty w śnieg, przeciągnęła się. Zdziwiło ją, że nie czuje żadnego bólu, ostro się przecież wywróciła, a sanki odjechały daleko. Kilka wron chodziło pod drzewem. Wysoko podnosiły chude nóżki, deptały po swoich śladach. Wtedy na policzku poczuła ciepło. Z nosa na puchaty śnieg kapła krew. Ta krew bardzo szybko zamarzała.

Odtąd Marta przychodziła do parku codziennie i za każdym razem odwiedzała to miejsce. Przez pierwsze trzy dni sprawdzała tylko, czy krew wciąż tam jest. Podobało jej się, że lód, w którym zakrzepła, nie topnieje. Czwartej nocy świeży śnieg przykrył jednak wszystko i kolejnego dnia nie mogła już znaleźć tej plamy. Przesuwała śnieg nogą, potem coraz głębiej wbijała czubek buta, ale pod spodem niczego nie było. Zaczęła więc rozkopywać dookoła. Kiedy kolejny raz dobiła się do zamrożonej na kość ziemi, uklękła i rozgarnęła zaspę rękoma. Potem kolejną. I jeszcze jedną. Wystraszyła się tak, jakby zgubiła klucze do mieszkania albo pieniądze. Że już nie znajdzie tego miejsca. Śnieg odbijał słońce, biel razita w oczy i kilka razy wydało się Marcie, że kątem oka widzi tę plamę. Ale kiedy mrugała i mrużyła powieki, żeby ją dojrzeć, plama się rozmywała.

Szybko straciła nadzieję, że ją odnajdzie. Ale szukała dalej. Odgarniała śnieg, coraz szybciej oddalając się od miejsca, w którym zaczęła poszukiwania. Nie chciała przestać, wstać i się otrzepać. Była tak wściekła, że krzyczałaby, ale wstydziła się robić hałas. Na ten wstyd też była wściekła. I na siebie, że zgubiła drogę do swojego miejsca. I na to, że nic tu nie ma. Nic tu nie ma! Pod jej kolanami skrzypiał śnieg.

Po kilkunastu minutach odnalazła plamkę. Nie uwierzyła w nią jednak – była przecież co najmniej kilka metrów od miejsca, w którym Marta zaczęła poszukiwania. W tym czasie czapka się jej

przekrzywiła, szalik rozwiązał. Leżał teraz w śniegu – zielony wąż w czarne pręgi. Była spocona, zasmarkana, włosy przylepiły jej się do policzków. Zaciśnęła zęby na kosmyku, który wślizgnął się do ust. Wciągnęła katar, wytarła rękawem nos i usiadła przy plamie w ten sposób, że miała ją między nogami. Nieufnie się jej przyjrzała. Może to jakaś inna? Obca? Dzieci często wywracają się w tym miejscu i wypadają z sanek. To może być krew kogoś z nich. Kształt plamy wydawał się jednak podobny do tego, który zapamiętała. Ostrożnie dotknęła lodu. Rozejrzała się. Stąd też widać było przystanek i to miejsce pod drzewem, gdzie zbierają się wrony. Kto wie, może to jednak tu? Ważniejsze od tych wątpliwości było jednak, że Marta się nie ucieszyła ani nawet nie poczuła ulgi, kiedy wreszcie odnalazła to miejsce. Minał strach przed jego utratą, ale nic go nie zastąpiło. Nie chciała, żeby to tak się skończyło.

Postanowiła więc, że o zadba o to miejsce. Przez następne dwa tygodnie codziennie przed powrotem do domu długo uklepywała na nim ochronną warstwę śniegu. Za każdym razem, kiedy je odkopywała i odkrywała, że plama wciąż tam jest, jakby na nią czekała, Marta na powrót zaczynała czuć do tego miejsca przywiązanie. Znowu była dumna, że je ma. Żeby poczuć tę dumę jeszcze mocniej, chciała komuś to miejsce pokazać. Wybrała najlepszą koleżankę. Przyprowadziła ją i odsłoniła warstewkę uklepanego śniegu. Ela skrzywiła się:

– O fuu!

I Marta już nikomu więcej nie pokazała tego miejsca.

Są za głupi – myślała, kiedy kucając na poboczu toru saneczkowego, gładziła już całkiem pewnie lodową szybkę, w której skrzepła niewielka ciemnoczerwona plama otoczona odpryskami z pojedynczych kropelek. Opuszki przyklejały się do lodu. Była pewna, jak nigdy wcześniej, że to jednak jest jej miejsce, jej krew. O tamtych poszukiwaniach myślała już tylko jak o chwili, kiedy zapomniała drogi do swojego miejsca.

Odkąd je odzyskała, zaczęła zwracać uwagę na inne plamki krwi zamrożone przy torze. Nie było ich wiele, ale każdej bałaby się dotknąć. Od cudzej krwi można przecież zachorować, nie wiadomo, co tam jest, a poza tym była obrzydliwa. Na swoją patrzyła z zachwytem, jakby oglądała zaszyfrowaną tajemnicę, której miała nigdy nie poznać, i chyba dlatego uwodził ją już sam jej widok.

Trudno powiedzieć, co spowodowało, że Marta tak przywiązała się akurat do tej plamy. Przecież mama często zbierała w chusteczkę krew z jej kolana czy palca, a potem ją wyrzucała. I nikt się tym nie przejmował. Krwawiły też Marcie dziąsła, kiedy pod jednym zębem wyrzynał się kolejny i trzeba było rwać mleczaka nitką – i tamtej krwi również nikt nie żałował. Najwyżej ząb Marta chowała do pudełka i czasem go oglądała, próbując na palcu to miejsce, gdzie

korzeń był ostry. Jasne było dla niej jednak, że ta tutaj zachowana w lodzie krew to zupełnie co innego.

Czasami, kiedy była już w domu, przypominała sobie to miejsce i wiedziała, że ono czuje, kiedy się o nim myśli. Wyobrażała sobie, że plama lekko wtedy świeci, pulsuje i być może nawet delikatnie pęka dookoła niej lód. Kiedy więc później zauważyła małe szczeliny obok plamy, wiedziała, że nie myliła się co do niej. Chociaż prócz krwi i ziaren piasku nie zamarzała w tym lodzie nawet igła z choinki – nic, co żyło i mogłoby czuć.

Trwała jeszcze zima, kiedy słońce tak przypiekło, że roztopiony śnieg rozcieńczył krew i plama zaczęła znikać. Marta patrzyła na to spokojnie. Widziała, jak zmienia się kształt plamy, jak krew blednie, wreszcie – jak ścieka, szczelinką w lodzie, w ziemię. To nic nie zmieniło, miejsce nadal było Marty. Przychodziła i przypatrywała się, jak woda ze śniegu miesza się z błotem. I nadal czuła się tu u siebie. Później patrzyła, jak na schnącej ziemi wyrastają blade trawki. Później mlecze. Później chodziły tamtędy mrówki. Żeby wśród zieloności nie zgubić tego miejsca, wyrwała z niego pewnego dnia wszystkie te trawy, mlecze i nawet małe białe kwiatki, których nazwy nie знаła. Zabijała też przechodzące tamtędy owady. Czasem tylko postanawiała być dla kogoś dobra i cierpliwie czekała, aż przejdzie. Jej miejsce na parkowym trawniku było więc tyse i nie dałoby się go zgubić. Latem nie przychodziła już jednak codziennie, bo nie czuła potrzeby czuwania przy nim. Raz na kilka dni podbiegała tylko i sprawdzała, czy aby nic nowego nie urosło.

Ale kiedy spadł pierwszy śnieg, znów zaczęła odwiedzać je części. Jednak było już ono wtedy nudniejsze nawet od tysey plamy w trawniku. Całe białe, nieruchome, puste. Chyba z tej nudy zaczęła się zastanawiać, gdzie teraz jest ta krew, która spłynęła wiosną. I wystraszyła się, że jej cząsteczki mogły być przecież w wyrwanym mleczech. Poczowała tę samą wściekłość, z którą rok wcześniej szukała plamy pod świeżym śniegiem. I znowu nie krzyczała.

Została jej więc tylko pamięć o plamie, i wyobraźnia. Dzięki nim przywiązała się do miejsca jeszcze silniej. Silniej niż wtedy, kiedy odwiedzała je codziennie i kiedy go szukała, kiedy je gładziła i chroniła, silniej niż wtedy, kiedy patrzyła, jak lód topnieje i wszystko ścieka w błoto.

Pamięć i wyobraźnia spowodowały, że plama się powiększyła, a jej kolor nabrał głębi. Przy brzegach i na powierzchni trwał lód. Kiedy świeciło słońce, na jego wilgotniejszej tafli ślizgały się błyski we wszystkich odcieniach czerwieni. I dlatego biła z tego miejsca łuna. Migotało w niej mnóstwo innych plam i trzeba było mrużyć oczy, wspominała Marta, i mrugać. Żeby nie dać im się oszukać. Tym razem wiedziała przecież, że są fałszywe.